



Foto: Piotr Białowicz

*Leszek Mądzik, albo...*

# Wędrowanie do siebie

- Zgoda, nie będziemy mówić o skomplikowanych sprawach. Pytaj o sprawy zwyczajne... Czy chciałem być kominiarzem?

Nie chciałem. Chciałem być bokserem. Nie, to nie tak, że byłem słaby i potrzebna mi była siła. Mnie zadziwiał Leszek Drogosz, o nim się mówiło, że jest czarodziejem ringu. Chodziłem na mecze Błękitnych Kielce, bo mnie fascynowało to bokerskie czarowanie, skakanie, ruch, dynamizm, a najbardziej podobało mi się, że ktoś zadał cios, a mnie już w tym miejscu nie ma. Umknąłem. Tak sobie wyobrażałem, tak chciałem zaskakiwać.

Dokończenie na str. 9

Ale kiedy po przedstawieniach słucham ludzi i czytam rozprawy o moich spektaklach, to okazuje się, że to nie tylko moje kłopoty, niepokoje i lęki...

# Wędrowanie do siebie

Dokończenie ze str. 1

– „Element ruchu reprezentuje w przestrzeni żywe i zdolne do poruszania się ciało... Ma więc ono kapitalne znaczenie”. To są słowa...

– Mógł je wypowiedzieć na przykład Appia. Tak? Spodziewałem się, że on. Ale nie zaprowadzisz mnie jeszcze do teatru. Nawet przy pomocy tak dobrego cytatu z wielkiego teoretyka teatralnej sztuki. Bo przecież chciałeś wiedzieć, kim chciałem być.

Malarzem chciałem być. I może dlatego, że od dziecka miałem słabość do autorytetów, to wyobrażałem sobie, że będę taki jak van Gogh. Czytałem jego listy do brata Theo, a te listy to jest przecież także pamiętnik i brałem z tych listów biednego Vincenta pocieszenie, że nie jestem sam. On cierpiał i ja cierpiałem. On nie doczekał się uznania, to ja też mam czas, poczekam. Byleby nie do śmierci, nie tak długo jak on. O, widzisz, takie szczeniackie marzenia-rojenia.

– „Okryty płaszczem marzeń”...

– A gdzie tam. Ze sztalugą na plecach umykałem z lekcji i malowałem kielecki zamek. Najchętniej jego widok od strony źródła Biruty. Tak, tego, o którym pisał Żeromski: „I wędrować klasztorne malowałem, i inne pejzaże. Paradoxy: tak bardzo chciałem być malarzem, a w kieleckim Liceum Sztuk Plastycznych zdobyłem zawód dekoratora-tkacza. W sekcji opisanej nazwą „tkanina dekoracyjna” było tylko dwóch chłopców i ze trzydzieści dziewczyn. W plątaniu warkoczy, osnowy i wątków szukałem szansy dla swojej dziwnej tkaniny. Utkalem najwięcej gobelinów i kilimów, najwięcej zrobiłem projektów, farbowałem tkaniny w kotłach, mieszałem barwniki – zupełna alchemia. I nagle, w nocy, na krótko przed dyplomem pojawiła się ta dziwna tkanina. Była biedna. Utkalem ją z dzianiny i zarde-

wiałego drutu. Świat pewnie znalazł ciekawsze odkrycia.

– Ale to bardzo twoje. Róża to przecież przemijanie, rozpad, śmierć materiału...

– A tak, tak. Kiedyś tak banalnie mi się mówiło: śmierć, przemijanie do śmierci. Nie, nie: to nie o śmierć chodzi, ale o moje niepokoje. Kiedyś był to niepokój o pewność uczucia, potem o pewność samego siebie, a innym razem może lęk z powodu upływającego czasu. Powiedz, co byśmy dali za taką zwyczajną chwilę jak ta rozmowa? Nie dzisiaj. Za rok, za jakieś pół roku? O, chyba teraz ja wchodzę w jakieś mroczne zakamarki.

– Może chcesz mi powiedzieć, że twój teatr jest z lęków porannych i snów niespokojnych...

– Mnie się nigdy nic nie śniło, co nadawałoby się na spektakl. Ja mam sny trudne, skomplikowane, ale nie śnię obrazami. Na każdej premierze łatwo sprawdzisz, że najważniejszy jest dla mnie pejzaż, mój pejzaż. Tam jest woda, gleba, piach, jakieś wyrwy w piasku, trawy, zboża.

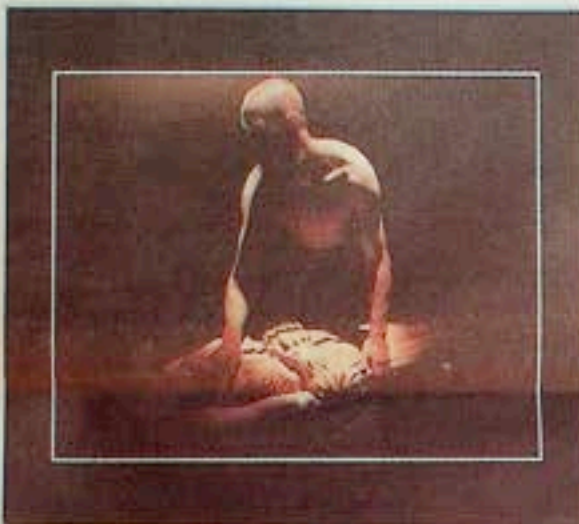
– Z naciskiem powiedziałeś: „mój pejzaż”...

– Tak? To dlaczego pytałeś i dopytywałeś, czy moja ziemia rodzinna ma inny zapach. Przedwczoraj, a przedwczoraj było Wszystkich Świętych, jechałem przez moją ziemię. Przez miejsce, gdzie się urodziłem. To miejsce jest u podnóża Góry Świętego Krzyża. W dzieciństwie chodziłem na tę górę do kościoła. Trzy kilometry przez las, takimi ścieżkami-wstążkami, na których i obok których były wyrwy w piasku, uskoki, gruzłowate korzenie. To coraz mocniej wraca i coraz bardziej wiem, że gdyby brakło w moim życiu dwóch rozdziałów – rozdziału Góry Świętokrzyskiej i rozdziału Kielce – nie byłoby tego teatru. Tamte pejzaże są we wszystkich moich spektaklach. W takie pejzaże wnoszę, wprowadzam swoje lęki, niepokoje, zagrożenia. Po tych pejzażach chodzi wiatr i je

dopelnia, są tam wieczory i smakowanie wieczorów, jest kapanie wody, są pluski, szelesty, szmery. W przyrodę wtapiam swój teatr.

– Ludzie w tym teatrze też są. Skąd pochodzą? Z twoich lęków?

– Przede wszystkim. I z ludzkich pejzaży, też mocno zapamiętanych. Moja szkoła podstawowa była w Kielcach przy ulicy Kościuszki. Blisko był szpital, kostnica szpitalna i kościół świętego Wojciecha. Z kostnicy przez kościół prowadziła droga na cmentarz. Pogrzeby były prawie codziennie i przez okno sączyły się takie widoki: karawan, wolno czlapające konie, czasem cała procesja żałobników, a czasem tylko parę osób szło za trumną. Szły konduktu w deszczu i w pełnym słońcu, szły rano, w południe i w godzinie zmierzchu. Czasem grała orkiestra, czasem tylko wiatr. Patrzyłem...



– Było to teatralne?

– Nie! To było normalne. Jedni mieli za oknem łąki, inni ścianę muru, a ja miałem taki trakt za oknem, bo przy nim mieszkalem.

– I co jeszcze tak mocno pamiętasz?

– Ojca. Szedł ogolony, z workiem na plecach. Nie poznałem go i ja jego nie poznałem. Po pięciu latach wrócił z więzienia, a ja miałem dopiero siedem lat. To były akowskie sprawy. Później, dużo później – śmierć mamy. Też trudno o tym mówić. I w tym kalejdoskopie przeżyć najmocniejszych, najbardziej dotykających, są też moje starania o przyjęcie na akademię. Pierwsze podejście w Warszawie. Nieudane. Świat mi się zawałił na głowę, roztrzaskały się nadzieje i marzenia. Drugie podej-

ście, trzecie. Kraków, Poznań. Chyba brakowało mi pewności siebie. Tak to dzisiaj widzę. Jak na ironię Poznań dał mi teraz pracownię i tytuł profesora.

– Blisko ziemi latamy. Naszej ziemi polskiej i kieleckiej. W świecie bywałeś...

– No, tak, to ważne, ale nie dlatego, że w świecie bywałem i bywam. Bo ważne jest to tylko, co ze świata w sobie przywożę. Najpierw byłem w Paryżu. Profesor Sawicki pewnie podpowiedział, że wysłać mnie trzeba, rektor Granat z tym się zgodził, a biskup Wesoly ufundował mi stypendium i pojechałem. Dużo miałem szczę-



ścia, naprawdę, bo zetknąłem się z szefem paryskiej federacji teatrów amatorskich. On miał wolny wstęp na wszystkie przedstawienia w Paryżu, a ja z nim. Kogo ja tam nie spotkałem, kogo nie oglądałem! Odeon, Komedie Francuska, Jean-Louis Barrault, Jean Anouilh, Ariane Mnouchkine. Oglądałem na scenach ich rewelatorskie dramaty, patrzyłem na ich przedstawienia, widziałem świetnego „Skapca” w Komedii Francuskiej i inne, pewnie bardzo ważne spektakle, których tytułów dzisiaj nie pamiętam. I oczywiście nie robię przedstawień podobnych do tamtych, oglądanych często w zachwyceniu. Swoich wyśnionych impresjonistów też widziałem. Była taka galeria obok Luwru. Szczególnie uważnie patrzyłem na ich dzieła, bo przecież malarzem chciałem być.

– No i nie namówili cię impresjonaliści, żebyś zdradził teatr. Swoją Scenę Plastyczną KUL, która miała już pierwsze sukcesy.

– Namawiali, namówić nie mogli. To wszystko, co było we mnie dla malarstwa, poszło ku teatrowi. Została tylko potrzeba malowania dla samego siebie. I jeżeli maluję, to w duchu dedykuję to osobie, o której myślę. Co maluję, pytasz. To samo, od dawna to samo: erogenność i świętość, biologię i sakrum. To są te dwa tematy. Jedyne.

– Wplątała ci się jak by nutka żalu, jak ten zardzewiały drut w twoją tkaninę. A przecież masz

sukcesy, sławę w Polsce i poza Polską, miejsce w najnowszym wydaniu Encyklopedii PWN...

– Ojciec pewnie by się cieszył. Dla niego encyklopedia to była wielka książka. A sukces? To jest niebezpieczne słowo. Ale jeżeli tak jest, to sukces tego teatru rodzi się z moich kłopotów, z mojego braku równowagi w uczuciach, w bardzo osobistych napięciach. Nie wiem, czy nie umiem dawać sobie rady z samym sobą, czy może to tylko przeważliwie-

nie. Niech będzie... Powiem ci. Te moje sceniczne pejzaże, ten spowolniony ruch w moich przedstawieniach, to wylanianie się kształtów z ciemności – to jest dla mnie taka modlitwa. Ona obdarza mnie spokojem, który pozwala mówić o najtrudniejszych sprawach i myśleć o nich. Tak jak teraz...

– To po to jest ten teatr?

– Po to i może nie tylko. Bo ja wiem, że to moje kłopoty, moje dewiacje, że to ze mnie. Ale kiedy po przedstawieniach słucham ludzi i czytam rozprawy o moich spektaklach, to okazuje się, że to nie tylko moje kłopoty, niepokoje i lęki. Ze to jest o ludziach.

– Ty tylko miałeś odwagę, żeby to ujawnić, pokazać...

– Odwagę? Inaczej powiedziałbym. Moje spełnienie jest w moim zawodzie i tam są moje szalone napięcia, bo teatr to rezultat wielkich kłopotów, a tworzenie to nie przyjemność. Natomiast oazą uspokojenia, równowagi jest mój dom. Te ściany, ten dach nad głową i te trzy kobiety – Liwia, Ludwika i Alina. Moje córki i moja żona. Czy sztuka moja zostanie – nie wiem. Mnie kiedyś na pewno nie będzie – to wiem. Ale w tych dzieciach ja zostanę i może uda mi się je przed czymś jeszcze przestrzec, od czegoś uchronić? No i ten dom także zostanie.

Zapisał:

FRANCISZEK PIĄTKOWSKI  
Zdjęcia: JACEK MIROSLAW I ARCHIWUM

